№ 84. Warszawa, dnia 6 (18) Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.



Kościół Ś-go Wojciecha w Poznaniu. Rysował z natury Schouppe.

ALFRED de MUSSET.

STUDYUM LITERACKIE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 83).

Istotnie, liryzm W. Hugo raz wznoszący się w wysokie sfery to znowu spadający w najniższe,—zawsze w poskokach ognistych i energicznych — nie dorównał co do czystości Lamartinowi, ale go przewyższył charakterem ludzkim.

P. Sainte-Beuve może się więc tym razem mylił, zaprzeczając obcego wpływu na koryfeuszów romantyzmu. Na W. Hugo, wpływała najwidoczniéj literatura niemiecka. Sam nawet w książce swéj o *Renie*, woła z pewnem uniesieniem: „Cóż się zostało ze starego świata? Dwa tylko narody: Francya i Niemcy... *Niemcy czują, Francya myśli.* Uczucie zaś i myśl, to cały cywilizowany człowiek."

Po wojnie francuzkiéj, zmienił poeta cokolwiek opinię co do niemców, szczególniéj co do ich *uczucia*, ale tak zawsze bywa, gdy poecie zachciewa się być mężem stanu lub politykiem. Gete wiedział o tém dobrze, i dla tego gdy pod Waterloo rozgrywały się losy Europy—on zajmował się literaturą *Chin*—czego wreszcie bezwzględnie nie pochwalamy.

Niezawodnym więc już dziś jest faktem, że W. Hugo stworzył *szkołę*, która nietylko we Francyi, ale i u nas do dziś dnia istnieje, a że jego oryginalność głównie zawisła na *formie*, na stylu łatwym do naśladowania, przeto naśladowano go też i naśladują w sposób doprowadzony do śmiesznéj przesady.

Obok tego naczelnika romantyzmu i całéj kohorty jego systemu, rysuje się oryginalnie prócz Bérangera, jeden z wielkich poetów francuzkich *Alfred de Musset.* Romantyk jak i inni, zrazu wydający się naśladowniczym (Contes d'Espagne et d'Italie) — otrząsnął się wnet samodzielnie, wzbiwszy się do wysokiéj oryginalności i do liryzmu, stawiającego go w pierwszym rzędzie swéj epoki. Wymawiano mu delikatnie w mowie przyjmującéj go w poczet akademików, „że się nawrócił z początkowych błędów." Wyrzucano mu mianowicie utwór p. t. *Confessions d'un enfant du siècle*," w tych mniéj więcéj słowach: „*Dziecię wieku*" było owocem pańskiéj czci dla Bajrona... ale mogąc już naśladować najlepsze Bajrona poematy, w których wyobraźnia szczera panuje nad jego humorem, wolałeś obrać *Don Juana*, na którym on skończył, *wyszydzając wszystko, nawet poezyę....* Miałeś wówczas wiek twego bohatera. W cztery lata potém, jakżeście się obaj,—pan i twój bohater—zmienili!... wszedłeś pan na drogę wielkiéj prawdziwéj poezyi.... jużeś nie naśladował poety Albionu, lubo wpływ mimowolny a poprzedni pozostał... Dzika rozkosz, jaką uczuwał Bajron w nieszanowaniu wszystkiego co my szanujemy, w połamaniu laski, na któréj się podpieramy, w odebraniu nam wszelkich naturalnych sprężyn duszy, ażeby je zastąpić pychą, jak gdyby pycha podtrzymać kogo była zdolną;—szał dziwaczny, dyktujący mu rozpacz najosobistszą, zamiast nadziei dla wszystkich,—sprzeczności poety zapalającego się, i myśliciela nie uważającego za prawdę tego co myśli—tyle światła na zdobycie jak najgłębszéj nocy—nie przystoi geniuszowi praktycznemu i zdrowemu naszego kraju..."

...Niektórzy zbyt wymagający, utrzymują że jeszcze teraz znaleźć można w pańskich wierszach pokrewieństwo z „Dziecięciem wieku." Jestem o tyle szczęśliwy że tego nie dostrzegam" i t. d. Z tego upornie powtarzanego zarzutu poznać można, za jaki grzech poczytała klassyczna akademia pierwsze prace tego poety. Późniéj jednak, zwłaszcza po jego śmierci, wyparła się krytyka poważna i tego zarzutu, utrzymując że nie naśladował Bajrona jako poetę, ale że miał wiele jego usposobienia *jako człowieka*, więc często zetknąć się z nim musiał.

Lecz bez zaprzeczenia, daleko trudniéj było uniknąć naśladownictwa najbliższych sobie spółczesnych, którzy w chwili pierwszego występu Musseta, byli na szczycie swojéj chwały i na najwyższém stanowisku, jako twórcy nowéj szkoły. Ustrzegł się ich wszakże Musset, objawiając jak powiada jeden z jego biografów, nie inną wyobraźnię tylko swoją,—czując nie „inném sercem tylko swojém," Co więcéj nietylko że nie naśladował nikogo, ale sam stał się twórcą szkoły—i to bez żadnych w téj mierze starań lub usiłowań. Tenże sam biograf trafnie powiada, że gdy inni znakomici jego rówiennicy, naginali swą wyobraźnię do ról wszelkiego rodzaju, Musset zachował wiernie swoją, że kiedy inni imaginacyą zastępują uczucie—on nie wpada w ten błąd nigdy. Wrażliwość jego i uczucie tak jak w każdym *prawdziwym* poecie, nie przechodzi nigdy w retoryczność. Nie tworzy on nigdy na chłodno, nie obarcza nas tém co *mógł* odczuć, ale wybiera skrupulatnie w przedmiotach, które odczuł rzeczywiście. Nadto dowcip (l'esprit) Musseta, jest najczystszéj wody narodowym francuzkim. Ten dowcip rozwesela, dając zarazem do myślenia. Jestto dowcip, w którym się mieści rozum i naiwność uśmiechnięta, dowcip, który obok jego dzieł poetycznych, dozwoli przetrwać dziełom napisanym prozą i tylu jego komedyom i przysłowiom, obywającym się wybornie bez dekoracyi i kostiumów. Przez ten choćby tylko dowcip—pozostanie Musset oryginalnym. Nareszcie dowcip jego jest moralnym, a moralność—że się tak wyrazimy, dowcipną.

Po tych kilku wstępnych uwagach, i zanim dopowiemy dalsze o nim słowo, przejdźmy do jak najtreściwszego rozbioru utworów Musseta i to porządkiem chronologicznym, w jakim je układały już niektóre historye literatury.

Pierwszy peryod datuje się od roku 1828-1835. Poeta miał wówczas lat 18. Zapoznał zrazu publiczność z kilkoma drobnemi poezyami, pełnemi wdzięku, jako: „Au lecteur", „A Madame B." „Vénise.". Już w rok późniéj, przyklasnęła młodzieńczemu poecie cała Francya. *Don Paez* był pierwszém jego ważniejszém dziełem.

Don Paez jestto hiszpański żołnierz, zakochany w hrabinie Orvado. Po wstępie pierwszéj części, tryskającym szczególną werwą, wprowadza nas autor do sypialni czarnookiéj andaluzyanki, hrabiny Orvado. Don Paez wyrywa się z objęć niedającéj się opisać rozkoszy, ażeby dopełnić obowiązku żołnierza, albowiem ma być na posterunku o oznaczonéj godzinie. W scenie rozstania, wybucha poeta przepysznym wierszem, drgającym samodzielnością i świadomością młodzieńczéj siły. Znać tu młodzieńca na progu burzliwego żywota, który wprawdzie jak się pokazuje z końca poematu, przeczuwa co jest zdrada kobiety i jak taka zdrada boli, ale który jeszcze ufa w siebie i w ludzkość. Jeszcze dalekim jest od zgubnego wpływu Syreny. Druga część rozgrywa się w obozie, przypominającym „Wallensteins Lager" ruchliwością dyalogów, w którym żołnierze w rozmaitych gruppach stojąc, opowiadają sobie awanturki miłosne, i wymieniają nazwiska swych kochanek. Jeden z nich budząc się ze snu, wymawia imię hrabiny Orwado. Don Paez zabija go w pojedynku—a potém bieży do niewiernéj. W rozkoszy bez pamięci, w uścisku zapomnieli o „dniu życiu i świecie." Lecz nagle powstał krzyk... i długie może wieczne milczenie... Co się stało? Nikt wiedzieć nie może. „Żadnego świadka, żadnego świadka, prócz głębokiéj nocy, która nie rozpowiada sekretów powierzonych sobie" (1829).

Już w „Don Paez" ocknął się talent poety w świetnych barwach.

„*Portia*" należy do poematów mogących wstrząsnąć na wskroś, a pod względem wykończenia, świadczy już o mistrzowstwie autora. Streszczając ważniejsze Musseta utwory, chcemy czytelników zachęcić do poznania go w oryginale i tylko lekkiemi wskazówkami oznaczyć ile się da, bez rozszerzania zbytniego ram, wydatniejsze piękności.

Oto w jaki sposób, poeta rozpoczyna swą powieść:

Na obłokach się kładły świtu ognie blade,
Gdy, ziewając, opuszczał huczną maskaradę
Graf Onorio Luigi. Zabawą strudzona
O jego ramię młoda wspierała się żona,
Palcami małéj rączki zgarniając niedbale
Z czoła i oczu, włosów nieposłuszne fale.
Szli w milczeniu. Za progiem małżeńskiéj komnaty
Ona padła jak spieką powarzone kwiaty:
Skroń na poręczy łóżka, bez słowa, bez ruchu—
On usiadł zdala.

Grudzień był i w szronów puchu
Spało miasto. Kominkiem, ranku mroźne tchnienia
Wbiegały; hrabia wszakże nie szedł do płomienia,
Tylko, chmurny, swą żonę pilnym badał wzrokiem.
W myślach, które sen mrocznym pokrywał obłokiem
Migotała podejrzeń krwawa błyskawica...

Luigi starzał się już. Blade jego lica
Nad wiek szybciéj zużyła namiętność. Był z rodu
Florentczyk, i do syta bawił się za młodu.
Rozpustny bo znudzony myśl miał smutną przecie.
Spostrzegłszy raz, że dwojgu weselej na świecie
Ożenił się, a zwodząc za dni swojéj wiosny
Cudze żony, o swoją był teraz zazdrosny.
Zazdrość, strzegące światło kryjąc w swojem łonie
Jest jako lampa nocna co przy śpiącym płonie,
I kto nocą by lampa płonęła nie baczy,
Choć będzie czuł natarcie, wroga nie zobaczy.

Drzwi pałacu Luigich otwarte szeroko
Na straży miały zawsze podejrzliwe oko,
I ramię ślące śmiałków do Tybrowéj fali.
Bo gdy graf zawrze gniewem, w oczach mu się pali
Płomień, którego zgasić nie zdoła nikt z ludzi.
Sumienie w jego piersiach nigdy się nie budzi:
Tyle kupił odpustów, że winę przeważą,
Rzym i świętych legiony mocną jego strażą
Więc jest przed pogróżkami i zemstą bezpieczny.

W piętnastéj wiośnie życia ślub przyjąwszy wieczny,
Otoczona hołdami i zabawy szałem,
Bogata, troskom drobnym obca w życiu całém
Żona jego posiadła wszystko—oprócz szczęścia.
A jednak, komuż tajno, że brzemię zamęścia
Że świat dotąd nie drasnął jéj obmowy grotem,
Gdyż była jako lilia?...

Piękna jednak małżonka hrabiego Luigi Onorio, kocha wenecyanina (mniemanego szlachcica) Kam. Dalti. Hrabia zazdrosny, dorozumiewa się miłosnéj intrygi—i zastaje na schadzce winną małżonkę. Wyzwany przez Daltiego na pojedynek, pada pod jego zręcznemi ciosami. Dalti ucieka z hrabiną. Przybywszy do Wenecyi, przyznaje się jéj do swego stanu. Uwiedziona zadrżała, dowiedziawszy się że się rzuciła w ramiona plebejuszowi, prostemu rybakowi. Ale uczucie kobiety zwycięża przesądy herbowe, więc przysięga zubożałemu kochankowi wieczną miłość i wierność. On jednak milczy bo *nie wierzy*

jéj słowom. W tém właśnie leży cały morał, gdyż mściwy odwet zaszczepił w sercu jego niewiarę, za którą w ślad pędzi nieszczęście. Zaznaczył to poeta bardzo delikatnie, a jednak bardzo zrozumiale i logicznie. W gondoli siedzi Dalti, przy nim Portia, „zaśpiewaj mi romanzę" prosi. Ona śpiewa. W téj to chwili opowiada Delti swoje tajemnice a kończy mówiąc ostro: jestem tylko nędznym rybakiem Zoppieri—w grze szukałem majątku, dziś straciłem wszystko, nie mam nic prócz téj gondoli w któréj pływamy." Po krótkiém zastanowieniu się odpowiada kochanka:

„Dieu rassemble
Les amants, dit Portia—nous partirons ensemble
Ton ange en t'emportant me prendra dans ses bras."
Mais le pêcheur se tut, car *il ne croyait* pas.

Bóg zbliża zakochanych — droga nam wytkniona;
Anioł ciebie unosząc i mnie wziął w ramiona.
Lecz rybak milczał na to bo *nie dawał wiary.*

Część poematu na tém się kończy. To jedno słówko, obok całéj dramatyczności zawiera nadto w sobie myśl filozoficzną i morał głęboki, „Zły posiew, złe owoce." Kochanek który się wdarł pod cudzy dach, osiągnął czego pragnął—kobietę i miłość, miłość szczerą, nie wierzy jednak—i to nietylko wtedy gdy jéj już opowiedział, że nie jest bogatym i hrabią, ale jeszcze przedtém, gdy się jéj pyta czy żałuje męża?—„Uczyniłam to dla ciebie, nie żałuję."

Na to kochanek szepcze sam do siebie:

O nature, nature! murmura l'etranger—vois cette créa-[ture;
Sous les cieux les plus doux qui la pouvaient nourrir,
Cette fleur avait mis dix-huit ans à s'ouvrir.
A-t-elle pu tomber et se faner si vite,
Pour avoir une nuit touché ma main mandite?.."

O naturo! naturo! patrz na tę istotę!
I błękity ożywcze i słońce ją złote
Pieściło lat ośmnaście, nim się rozwarł kwiatek,
Czyż dla tego on upadł, zwiędniał na ostatek
Że jedną noc dotknięty mą dłonią przeklętą?..

(*d. c. n.*)

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 83*).

III

— Oni są z sobą jak najlepiéj, tu się zbliżyli, poprzyjaźnili, i twój Ramułt demokrata mentoruje hrabiemu Ramułtowi... Hrabina matka wszakże nierada tym stosunkom, i bywa tylko prywatnie u niego Sylwan, jak słyszałem...

Co się tycze miłości dla panny Hanny, najprzód on sam już sobie musiał dawno wybić z głowy, powtóre nigdzie się nie spotkają pewnie, bo ten Sylwan nie bywa w naszych towarzystwach... trzyma sobie z mieszczanami, inteligencyą, jak oni ją tu zowią, z tym tam światem, którego my nie znamy. Nie masz się więc czego obawiać... byle—byle siostra jego Lelia, która tu jest...

— Lelia tu jest! krzyknął uderzając w dłonie Oleś — ona! tu! mój Boże! Ależ to przyjaciołka od serca mojéj Hanny, ulubienica starościnéj... a i moja... przyjaciołka.

— To najgorzéj—przerwał Dołęga—masz do niéj słabość, do czego się sam przyznałeś... co to będzie jak ona zechce za bratem intrygować?

Oleś się za głowę chwycił.

— Ciszéj! rzekł—ciszéj! niedobrze to jest, bardzo niedobrze... A no, trzeba się naradzić co i jak poczynać... Chodźmy na śniadanie—pogadamy swobodniéj, bo tu się obawiam... może nas kto podsłuchać...

Dołęga wstał i szepnął.

— Ja cię zaprowadzę na taką przekąskę *vous vous en lecherez les doigts*! Chodź... a na ojcowskie twe troski znajdziemy radę! Ho! ho! nie takieśmy to rzeczy przebywali...

Wzięli się tedy pod rękę i wyszli po cichu...

IV.

Salonik, z którego wymknął się Oleś, stał przez chwilkę pusty... potém otworzyły się drzwi w lewo i weszła siwowłosa staruszka, miłéj pięknéj jeszcze i uspokojonéj twarzy, ubrana z wielkiém staraniem, ale czarno. Z nią razem szła słusznego dosyć wzrostu, piękna, zamyślonego oblicza panienka, równie wykwintnie a zarazem z prostotą i smakiem ubrana. W rysach jéj, mimo młodości, ślady wewnętrznych walk i cierpień skrytych, jakaś zaduma nad przyszłością, coś dziwne smutnego panowało. Uśmiech miała wdzięczny ale nie młodzieńczy—więcéj w nim było politowania niż wesela, dobroci i pobłażania niż radości. Czarne oczy przysłonione rzęsami długiemi miały tenże wyraz nieuleczonéj melancholii. Na czole, ustach, w postaci całéj, może przedwczesna powaga czyniła ją trochę starszą niżeli była w istocie. Mimo to dziecinna prawie prostota i naiwność przeglądała przez zasłony smutku i obłoki melancholii. Dwie te postaci obok siebie, starość wdzięczna i święta, młodość smutna i majestatyczna, stanowiły gruppę na któréj musiałoby się każde oko jak nad zagadką zatrzymać... Młodego wesela trochę w twarzy staruszki równie dziwiło jak powaga przedwczesna w dziewczęciu. Staruszką była babka, pani starościna—panienką Hanna córka pana Aleksandra... Obejrzały się wchodząc po salonie, w którym się gości znaleźć spodziewały, i starościna odezwała się z trochą niezadowolenia:

— Już go nie ma! tylko co słyszałam głos... Znowu gdzieś się wymknął... Wczoraj dopiero podobno nad rankiem powrócił—teraz znowu już go niema... Ktoś go pochwycił—a—to nieznośna rzecz doprawdy...

Siadła staruszka.

— Niechże się babcia nie gniewa—odezwała się wnuczka: ojciec ma tyle, tyle rzeczy do zrobienia... Widziałam wchodzącego Dołęgę, poszli z nim razem pewno po jakie sprawunki.

— Ja się nie gniewam moje dziecko, bo na tego poczciwego Olesia niepodobna się pogniewać, tylko mi go brak. Pana Maryana Dołęgę byłabym też z przyjemnością widziała, bo to bardzo usłużny człowiek i w mieście się bez niego obejść trudno... a tu mi tak prysnęli.

— Pewnie wkrótce powrócą...

Staruszka spuściła głowę jakoś smutnie, Hanna rozglądając się w sprzętach przechadzała po pokoju... Służący wszedł oznajmując jakąś panią, która—nie chciała mu nazwiska powiedzieć.

— Cóż to znowu jest? spytała babcia... to może jaka żebraczka?...

Służący się rozśmiał.

— A! gdzież tam, proszę jaśnie pani! przyjechała powozem...

Hanna dała znak głową, aby prosił. W téjże chwili ze śmiechem głośnym, wpadła mała zwinna, strojna ślicznie, zgrabna i miluchna jejmość, która wprost do kolan babci przypadła...

— A! babcia tu! babcia kochana!... co za szczęście... I całowała ją po rękach! a potém Hannie się rzuciła na szyję ściskając ją, śmiejąc się—podskakując...

Pomimo téj trzpiotowatości nie była to młodziuchna dzieweczka, ale kobiecina, któréjby znawca nie dał więcéj nad lat dwadzieścia kilka, choć metryka mówiła już o trzydziestu. Jak większa część blondynek, zachowała cudownie świeżość, rysy, ruchy, całą powierzchowność pierwszéj młodości, tylko troszeczkę pełniejsze formy zdradzały lata... Wyraz nawet okrągluchnéj twarzyczki, niebieskich oczu, różowych wydatnych ustek, przypominał więcéj aniołki mitologiczne niż niewiastę i wdowę, którą była pani Lelia z Ramułtów Matuska, siostra pana Sylwana.

— Że babcia tu, to nic dziwnego, bo chora, a ma starego doktora któremu ufa i przyjechała się poradzić, rzekła starościna;— ale że ty tu moja Leleiu... to dziw nad dziwami! Co ty tu robisz?

— Ja? moja babciu droga? ja—mam też tu kogoś co był mi do zdrowia i życia potrzebny— westchnęła spytana.

— Kogoż! co? jak? czy wybierasz się znowu w święty stan...

— A! nie! nie! nie! śmiejąc się odparła Lelia —uchowaj Boże! Czyż pani starościna nie zgaduje o kim mówię?

Spojrzała ukradkiem na Hannę, stojącą przy niéj, po któréj licu w téj chwili przepłynął rumieniec jak błyskawica i znikł.

— A jakże ja to zgadnąć mogę? zawołała starościna.

— Brat mój od kilku lat tu mieszka—rzekła Lelia ciszéj: udało się nam wyrobić mu pozwolenie... a nawet więcéj niż to, bo zajęcie i pracę Przyjechałam się z nim zobaczyć.

Starościna zmilczała... Spojrzała na Hannę, spuściła głowę, zamruczała coś niewyraźnego...

— Siadaj, proszę.

Obie z Hanną pomieściły się na kozetce naprzeciw fotelu babuni i wzięły za ręce... spoglądając na siebie ciekawie.

— Hanna mi się nic nie zmieniła, tylko jeszcze spoważniała, mówiła Lelcia powiedziałabym prawie, posmutniała...

— A ty zawsze wyglądasz na trzpiota którym nie jesteś — dodała Hanna. Ktoby cię nie znał, pomyślałby żeś najszczęśliwsza istota na świecie...

— A nie jestem ani wesołą ani szczęśliwą, ty wiesz droga Hanno—mówiła Lelia—tylko przed światem wywieszam ten szyld fałszywy, aby pod nim skryć kontrabandę nieuleczonego smutku i zwątpienia...

Po co ludzie mają wiedzieć co się w mojém sercu dzieje, ażeby sobie żarty z niego stroili?

Gdyby nie to—ciągnęła daléj—żem wdowa, żem sama na świecie, że mi lata płyną szeleszcząc skrzydłami nietoperzowemi nad głową, zwiastując smutną starość z kabałą i mopsem na kolanach, gdyby nie mój własny, los brataby już wystarczał na osmucenie méj duszy...

Na to wspomnienie brata, babunia zrobiła minkę zakłopotaną i smutną—Hanna się znowu zarumieniła poprawiając strój aby ukryć pomieszanie—obie zamilkły. Dopiero po długiém milczeniu, starościna szepnęła:

— No—a cóż się z panem Sylwanem dzieje?

— Pracuje. Na tobym ani ja, ani on się pewnie nie skarżył, mówiła Lelia—lecz praca to z dnia na dzień, a jutro niepewne... Chociaż dziś się jéj dorobił, jutro stracić ją może, każdego dnia intryga mu grozi wypchnięciem znowu na

tułactwo... Tu przybyszów nie lubią, a panowie Niemcy radziby się ich pozbyć, byle pozór najmniejszy do pozbycia się znaleźli...

Lelia urwała spuszczając głowę.

— Ale co bardzo dziwne, bardzo—że wypadkiem znalazł się tu razem ze swoim przyrodnim bratem... *excusez du peu*, panem *hrabią* Ramułtem, dodała z przyciskiem...

— A! a! z tymi przerwała starościna, których rodzina pono was nigdy znać nie chciała... No, a jakże są z sobą teraz?

— Doskonale z nim; co się tycze hrabinéj matki, ta Sylwana ignoruje. Bracia są z sobą jak bracia... Herman ma być dobry chłopak... chociaż pieszczotami mamy, wychowaniem i dostatkami w niwecz popsuty... Jedynaczek, ładny chłopiec... a w dwudziestu kilku leciach już tak życiem znudzony, tak mu się wszystko przejadło... aż śmieszny.

O! będziecie go tu państwo pewnie mieli, bo Sylwan mi mówił, że wczoraj u niego na wieczerzy był p. Aleksander, gwałtem go porwano i nie puszczono do rana...

— A tak! odezwała staruszka. Oleś jest słaby zawsze się da wciągnąć.

— Więc to u niego był ojciec? szepnęła Hanna i głowę spuściła.

— Z hrabiną się także pewno panie poznacie; co do mnie, mówiła Lelia cisnąć się tam nie myślę. Nie rada ona Sylwanowi, nie mogę i ja tam bywać. Nie chciałabym jéj ogadywać, bo się to może wydać z mojéj strony odwetem złośliwym, ale—całą gębą hrabina galicyjska... Próżna, dumna, mało wykształcona, elegantka, arystokratka.... Francuzka i Niemka więcéj niż Polka... słowem najnieznośniejsza baba pod słońcem... która mimo swych lat pięćdziesięciu starannie tynkowanych, jeszczeby się chętnie za mąż wydała, gdyby znalazła pretendenta...

Nic nie robi tylko się stroi... szczebiocze... wieczorem gra, a rozpada się nad swym najukochańszym gagatkiem.

Staruszka pogroziła na nosie Lelii.

— Widzisz jaka ty jesteś złośliwa... odmalowałaś ją karykaturalnie — a powinnaś była wiele przebaczyć, choćby dla tego że syna tak kocha.

— I tak go psuje! dorzuciła Lelia— moja babciu! Nieznośna baba!

Hanna się uśmiechnęła.

— Ale *tres comme il faut?*

— Jak najbardziéj *comme il faut*, nawet jest damą gwiazdzistego krzyża... i bywała na dworze — roześmiała się Lelia. Mówi w salonie o wszystkiém o czém się w salonach mówić zwykło, z wielkim talentem, aby się nie wyrwać z niedorzecznością — a nie umie nic.... Czytają za nią, uczą się, dowcipkują drudzy; ona gotową naukę, lekturę i dowcip chwyta jak zgotowane potrawy przy obiedzie, i tém żyje. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Lwów w Październiku.

Sprawa kolei Lwowsko-Czerniowieckiéj zajmuje w téj chwili uwagę powszechną tutaj z powodu przedsięwziętych względem niéj ostatniemi dniami kroków ministerstwa handlu. Wiadomo powszechnie, w jak nędznym stanie kolej ta się znajduje, tak pod względem budowy, jako też nieporządku w zarządzie i bezprzykładnéj rozrzutności ze strony generalnéj dyrekcyi, z czego wynikają, pomimo powiększonych o 50% od czasu otwarcia kolei w r. 1866 dochodów, powiększające się równocześnie z każdym rokiem niedobory, wymagające co rok większych ze skarbu państwa zasiłków. Wypadki powtarzają się bezustannie; walenie się mostów, usuwanie przekopów, podmakanie grobli źle zbudowanych, wykolejenia pociągów stały się niemal codziennemi do tego stopnia, iż weszło u nas w żartobliwe przysłowie, iż puszczając się w podróż koleją Czerniowiecką dobry chrześcianin na śmierć dysponować się powinien. Źle prowadzony zarząd, nieustanne zmiany w służbie kolejowéj, przenoszenie urzędników z miejsca na miejsce, zraża wszystkich i pobudza do szukania odpowiedniejszych posad przy innych kolejach, gdzie mniéj dowolności a więcéj ładu. Któżby uwierzył, że na całéj przestrzeni téj kolei nie ma już dziś w całym etacie urzędników i służby ani jednego z tych, którzy byli obecni inauguracyi kolei przed sześciu laty! Wszystko co lepsze usuwa się zniechęcone, jeden tylko dyrektor generalny p. Offenheim trwa niezmiennie na swéj posadzie, pobierając bajecznie wysoką pensyę 27,500 guldenów w srebrze, co wedle kursu bieżącego uczyniło w roku zeszłym nie mniéj ni więcéj jak poważną sumkę 37,000 guldenów, jakiéj nie pobierają dyrektorowie żadnéj innéj kolei austryackiéj, a któréj wysokość przy corocznym mianowicie niedoborze kolei, musi zdumiewać każdego na pierwszy rzut oka i boleśnie dotykać

CHARAKTERYSTYKA PALACZÓW



Pierwszy papieros.



Petit canon.



Palacz smakosz.



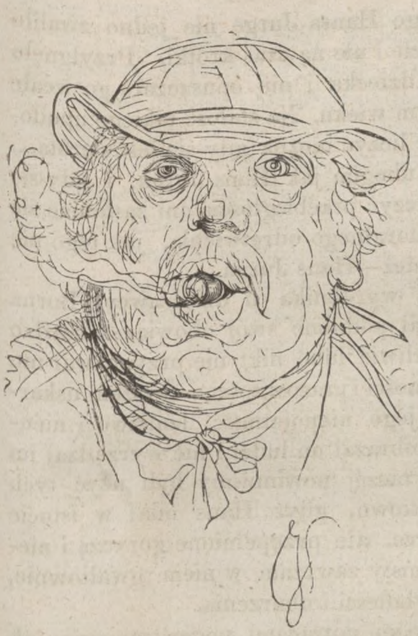
Palacz flegmatyk.

kieszeni akcyonaryuszów, tém bardziéj, że pan Offenheim nie poprzestając na tém co sam pobierał, szczodrą ręką dowolnie szafował gratyfikacye różnemi tytułami między podwładnych swoich, którzy mu się podobać umieli.

Stan takowy rzeczy oburzał od dawna publiczność, sarkali nań akcyonaryusze, a obecnie i rząd zwrócił wreszcie nań swą uwagę. Dopóki się waliły mosty schiffkornowskie i zagrożone były karki podróżnych, to dotykało bardziéj akcyonaryuszów i publikę, nie nastręczało więc tak dalece konieczności mięszania się w sprawy kolei, ale gdy subwencya rządowa zamiast zmniejszać się, nie przestawała wzrastać, zniecierpliwiło to pana ministra handlu Banhansa i wystąpił energicznie do rady zawiadowczéj kolei z rozporządzeniem, aby położono niezwłocznie koniec nadużyciom i rozrzutności, pensyę dyrektora generalnego zniżono do cyfry 10,000 guldenów, i przystąpiono do zupełnéj reorganizacyi całego zarządu i porządku służby kolejowéj, pod zagrożeniem opartém na przepisach ustawy kolejowéj, zajęcia w sekwestr rządowy całéj kolei, jeżeli pożądana reorganizacya nie zostanie niezwłocznie z gruntu przeprowadzona. Rozwinął się z tego powodu spór pomiędzy dyrekcyą generalną kolei a ministerstwem. Jak lwica raniona stanął w obronie swéj pensyi pan Offenheim, zaprzeczając ministrowi handlu prawa postępowania w ten sposób. To wszakże nie zepchnęło z obranéj drogi p. ministra, a publiczność ciekawém okiem śledzi przebieg téj sprawy, ciesząc się, iż przecię raz zostanie uporządkowana ta ważna linia komunikacyjna, na któréj panował bezład taki, iż można powiedzieć igrano z bezpieczeństwem życia podróżnych. Mamy nadzieję, iż p. minister nie ustąpi, wziąwszy raz w rękę tę sprawę. Już skutkiem tego powstrzymane zostały na przestrzeni pomiędzy Lwowem a Suczawą pociągi pośpieszne, na tak długo, dopóki koléj nie będzie należycie poprawiona, albowiem dzisiejszy stan budowy, nie daje dostatecznéj rękojmi bezpieczeństwa dla jazdy pośpiesznéj. Inne zmiany mają w trop za tém nastąpić, i wkrótce może dzięki panu Banhansowi przyjdzie czas błogi, że podróżni będą mogli wsiadać do wagonów kolei Czerniowieckiéj w tak dobrym humorze z piosnką na ustach i tak bezpieczni o życie i mienie jak na innych kolejach po świecie.

Mieliśmy walne zgromadzenie lwowskiego oddziału Towarzystwa pedagogicznego. Rozbierano na niém niedostatki w urządzaniu szkół ludowych w Galicyi, do czego powód dała odczytana w tym przedmiocie rozprawa prof. Zwierkowskiego. Istotnym niedostatkiem i źródłem, z którego wszystkie niemal główne wady szkół tych wypływają, jest brak planu i instrukcyi, któréj dotąd rada szkolna nie wydała, z czego wynika, iż nauczyciele nie mając wskazówki dydaktycznéj, do któréjby się mogli zastósować, idą samopas chwytając się rozmaitych metod, jaka się któremu z nich lepszą zdaje, i szukają wskazówek uczenia w niemieckich podręcznikach pedagogicznach, nie dających się częstokroć u nas zastósować. Ztąd wynika, iż nauka w szkołach ludowych nie ma jednolitości, iż zależy głównie od wyobrażeń i uzdolnienia nauczyciela, otaczających go wpływów, na tok jego wyobrażeń działających. Złe to tém bardziéj uczuć się daje, iż cała Galicya podzielona jest tylko na dwadzieścia cztery inspektoraty szkolne, zaczém każdy inspektor ma w swoim okręgu przeszło 200 szkół pod swym nadzorem, nie może więc dokładnie wykonywać nadzoru, albowiem zaledwie dwa razy do roku jest w stanie objechać swój okrąg i zwiedzić wszystkie należące do niego szkoły. Przeciwnie rady nadzorcze miejscowe, z mieszkańców gminy złożone, których zadaniem jest właściwie tylko czuwać nad sprawami gospodarskiemi czyli administracyjnemi szkoły, mieszają się często do spraw dydaktycznych, zastępując inspektora, i jeżeli nauczyciel nie ma pewnych ustalonych i jasnych pojęć dydaktyczno-pedagogicznych, co się bardzo często przy nizkim w ogóle stopniu wykształcenia naszych nauczycieli wiejskich zdarza, to obałamucają go swemi wymaganiami i rozporządzeniami, tak, iż powstaje chaos w nauce, który następnie z trudnością prostować i naprawiać przychodzi. Aby usunąć te niedostatki i zaprowadzić jednolitą metodę nauczania we wszystkich szkołach ludowych, uchwaliło zgromadzenie podać do sejmu petycyę o zmianę podziału okręgów nadzorczych w ten sposób, aby z każdego dzisiejszego utworzyć przynajmniéj dwa nowe i pomnożyć w dwójnasób liczbę inspektorów. Zarazem postanowiono poczynić starania u rady szkolnéj o wydanie planu organizacyjnego i instrukcyi szkolnéj. Rada szkolna ma sobie utorowaną w tym przedmiocie drogę, albowiem nie pierwszy to już raz poruszono tę sprawę i nie

Z TEKI BARTŁOMIEJA Z ŻELAZNÉJ.



Grand canon.



Palacz z zasady.



Palacz nałogowy.



Ostatnie cygaro.

pierwszy to głos odzywający się za przyśpieszeniem ogłoszenia planu normującego system nauki w szkołach ludowych. Nie poprzestając na samém czczém domaganiu się, nauczyciele szkół miejskich lwowskich męzkich i żeńskich, zajęli się byli już dawniéj czynnie tą sprawą, i zebrawszy się na umyślną konferencyę pod przewodnictwem inspektora okręgu szkolnego lwowskiego profes. Sobieskiego, wypracowali projekt rzeczonego planu i instrukcyi i przedyskutowawszy takowy na kilkunastu posiedzeniach, przedstawili do zatwierdzenia radzie szkolnéj krajowéj. Posiada więc już rada szkolna gruntownie opracowany materyał, mogący jéj służyć za podstawę ogólnéj zasadniczéj dla szkół ludowych ustawy. Jest to rzecz tak pilna, a zarazem tak wielkiéj wagi, iż jakkolwiek rada szkolna obarczona jest natłokiem spraw rozmaitych administracyjnych, przecież trudno usprawiedliwić takowe opóźnienie w załatwieniu tego, co przy organizacyi szkół powinno było być pierwszą rzeczą.

Akademia techniczna tutejsza została zmieniona z początkiem bieżącego roku szkolnego na politechnikę o trzech wydziałach, budowniczym, mierniczym i chemiczno-technologicznym. Tylko wydział handlowy pozostał w dawnym swym składzie i oczekuje późniejszéj reorganizacyi. Ministerstwo obeszło się z nim prawdziwie po macoszemu, nie troszcząc się o to bynajmniéj, czy Galicya posiadać będzie lub nie i czy potrzebuje dobréj szkoły handlowéj. Zdaje się jakby chciano tém zaniedbaniem téj tak ważnéj szkoły zmusić tutejszą gminę miejską do założenia własnym kosztem osóbnéj samoistnéj szkoły handlowéj, co też gmina uczynićby powinna, nie oglądając się na to co ministerstwo w tym względzie kiedyś przedsięwziąć zamierzy. Miasto takie jak Lwów, liczące dziś już około 150,000 ludności, kraj liczący 6,000 wsi i miasteczek, których dobrobyt głównie od podniesienia przemysłu i ożywienia ruchu handlowego zależy, czyliż może się obejść o jednéj szkole handlowéj, i to o takiéj, jaką jest ów zwany szkołą handlową jednoroczny kurs jakby od napaści przyczepiony—przepraszam za wyrażenie—do tutejszéj akademii technicznéj?

Zawiązuje się tu nowe stowarzyszenie, mogące wpłynąć na obniżenie ceny najpotrzebniejszych przedmiotów żywności w drobnostkowéj sprzedaży. Jest to mianowicie stowarzyszenie przekupniów drobiazgowych, których tu mianem pożyczoném z żargonu wiedeńskiego pospolicie *grajzlerami* zowią. Cała uboższa ludność miejska, nie będąca w stanie kupować przedmiotów żywności w większym zapasie, żywi się za pośrednictwem owych *grajzlerów*, biorąc w tych sklepikach rozrzuconych po całém mieście i przedmieściach wszystko, cokolwiek do opędzenia potrzeb powszednich domowych jest niezbędne. Od ceny, jaką przekupnie ci sami za te przedmioty opłacają i jaką następnie na nie przy sprzedaży nakładają, zależy mniejsza lub większa drożyzna życia uboższych klass mieszkańców miejskich. A że przekupnie ci nie posiadając kapitałów znaczniejszych, sami przedmioty te w małych nabywając ilościach, przepłacać są zmuszeni, ztąd wynika, iż chcąc jeszcze jaki taki zysk z tego dla siebie wyciągnąć, muszą drogo sprzedawać, a pomimo tego jeszcze nie mają przecież takiego zarobku, jakiby mieli, gdyby byli w możności zakupować przedmioty swego handlu hurtownie w większéj ilości. Czego żaden z nich maleńkim swym kapitałem uczynić nie może, tego dokonać zdoła stowarzyszenie wspólnym kapitałem, utworzonym ze skupienia owych dziś rozproszonych małych kapitalików. Stowarzyszenie przekupniów zamierza tedy założyć wspólnym kapitałem skład główny, zaopatrzony w zapasy nabywane hurtownie po cenach pierwotnych w jaknajlepszych gatunkach z pierwszéj ręki, i z tych źródeł gdzie czego najtaniéj dostać można. Stowarzyszenie będzie mogło w tym względzie zawierać korzystniejsze i obszerniejsze stosunki, o jakich pojedynczy przekupień, kupujący z dnia na dzień, myśleć nie może. Taniéj nabyty przedmiot będzie też i po niższéj cenie mógł być w sklepiku grejzlerskim sprzedany, a pomimo tego zawsze jeszcze więcéj da zysku właścicielowi sklepiku, niżli w dzisiejszym stanie rzeczy o wiele drożéj sprzedany. Stowarzyszenie to zastąpi tedy pod pewnym względem upadłe niedawno stowarzyszenie spożywcze, które z początku tak się pomyślnie zdawało rozwijać, a po kilku zaledwo leciech istnienia, przez niedbalstwo zarządu w niefortunne popadło losy, i w bardzo smutny sposób zbankrutowało.

Na zakończenie dodam parę wiadomostek z pola sztuki. W bieżącym miesiącu odbędzie się losowanie zakupionych na tegoroczné wystawie obrazów i rzeźb przez tutejsze Towarzystwo sztuk pięknych. Towarzystwo powzięło zamiar zakupienia jednego z większych obrazów Matejki, na co potrzebny kapitał 40,000 guldenów ma być zebrany przez subskrypcyę na akcye między członkami Towarzystwa. Zdaje się, iż zamiar ten będzie mógł przyjść do skutku i wkrótce mają być rozpoczęte kroki, ku jego urzeczywistnieniu. Piękny to pomysł—będzie albowiem rodzajem uznania artysty ze strony całego kraju, niejako powszechnego hołdu dowodem. W biurze Towarzystwa jest ciągle jeszcze do widzenia *Stańczyk* Matejki, z którego rycinę pozwolił zdjąć na przyszłoroczne premium. Na ten rok członkowie otrzymali *Stadninę Hetmańską* Kossaka. Fotograf tutejszy Edes powziął myśl wydania kalendarza ściennego fotografowanego, mającego przedstawiać w humorystyczny sposób zestawiony obraz tutejszego dziennikarstwa. Wszyscy dziennikarze tutejsi znajdą się tam pomieszczeni, wedle swych zasad, czynów i stanowiska jakie zajmują scharakteryzowani. Układem téj humoreski zajmuje się malarz Młodnicki. O teatrze cóż powiedzieć? Tam bezład i bezkrólewie, zniechęcenie pomiędzy artystami, udzielające się także i publiczności, od czasu jak Ładnowski złożył artystyczną dyrekcyę, którą przez niejaki czas prowadził, a Niedzielski po skandalicznych zajściach z Janem Dobrzańskim, których echo aż do pism publicznych się przeniosło, także porzucił dyrekcyę opery i zupełnie się usunął, prowadzą ster opery kapelmistrze orkiestry, a dramatu i komedyi zmieniający się reżysserowie. Że przy takim składzie niepodobna nic pomyślnego spodziewać się dla sceny, to samo z siebie wypływa. Przez ustąpienie Niedzielskiego poniosła opera tutejsza cios niepowetowany, co się też od razu uczuć dało pomimo wszelkich reklam gazeciarskich usiłujących rzecz zatrzeć i wmówić w publiczność, że Niedzielski niepotrzebny, gdy przecież powszechnie wiadomo, iż on to stworzył operę tutejszą, i bez jego zabiegów i wielkiéj w początkach pracy bylibyśmy jéj wcale nie mieli. Jeżeli towarzystwo akcyjne, o którem się tak dużo z początku mówiło, a którego zawiązanie tak stanowczo obecnie postępuje istotnie przyjdzie do skutku i obejmie ster sceny, wówczas dopiero można się spodziewać pomyślniejszego rozwoju sceny, powściągnienia dzisiejszéj rozrzutności i nieładu, a wówczas zapewne i Niedzielski będzie zawezwany do objęcia napowrót dyrekcyi opery, którą tak pomyślnie inaugurował.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

HANS JURGA.

Obrazek dramatyczny w 1-nym akcie

przez **Karola Holteya**,

przekład z niemieckiego.

(Pierwsze przedstawienie 12 października b. r.)

Na biednego Hansa Jurgę nie jedno zwaliło się nieszczęście i nie na czas krótki. Przylgnęło ono już do dziecka i nie opuszczało go wcale w dojrzalszym wieku. Na stałość takiego upodobania zawsze liczyć można gdy się jest sierotą.... brzydkim... ubogim jak Hans Jurga, i gdy się nie umie walczyć przebiegłością ani zasłaniać się puklerzem moralnego odrętwienia, jak tego nie potrafił również—Hans Jurga.

Służąc za wyrobnika u dzierżawcy Borna Hans spełniał podobno swój obowiązek bardzo wiernie i gorliwie lubo nikt nie przyznawał mu zalet sumienności i pracowitości,—owszem uskarżano się na jego niepojętność, lenistwo i nieudolność; nie obrażał on ludzi i nie wyrządzał im krzywdy, a raczéj powinniśmy byli użyć tych słów warunkowo, gdyż Hans miał w istocie poczciwe serce, ale przepełnione goryczą i nieraz chęć zemsty zawrzała w niem gwałtownie, całą energią boleści i oburzenia.

Nie lubiono go, potrącano, pogardzano nim jak złém i szkodliwém stworzeniem, chociaż zasługiwał więcéj na litość niż na prześladowanie i szyderstwo. Niesprawiedliwość którą znosił wyrodziła w Hansie głuchą niechęć, a czasem nawet i nienawiść zawziętą i ogólną — wszakże z pewnym wyjątkiem.

Córki swego gospodarza, pięknéj Anusi, pomimo jéj złośliwych figlów i upokorzeń od niéj doznawanych Hans nie mógł nienawidzieć.... nie miał na to siły. Oczarowała go swemi wdziękami, wielbił ją jak świętość, kochał jak nie ujęty a ciągle blizki ideał.

Dowodziło to, że Hans Jurga niedaremnie wyszedł z pod pióra niemieckiego pisarza. U naszych sąsiadów dziwnie jakoś się plącze sentymentalizm z dzikością, a już zwłaszcza płynie on falami mleka i miodu w teoryi, nim gorzkie osady poruszy w nim, ciśnięty nagle w łono słodkich bałwanów, probierczy kamień praktyki.

Hansowi zatém jego czysto-germańska czułość nieprzeszkadzała—marzyć przynajmniéj o gwałcie. Dowiedziawszy się że Anna wychodzi za mąż, postanowił on zemścić się za łzy swoje i za odrzuconą miłość — kulą mającą rozdzielić na wieki kochanków.

Przeznaczał ją naturalnie szczęśliwszemu od siebie współzawodnikowi, który pozyskawszy wzajemność dziewczyny i przyjęty chętnie od jéj rodziców jużby dawno poślubił Anusię gdyby nie stawały mu na zawadzie zaloty barona.

Młody magnat, właściciel posiadłości dzierżawionéj przez Borna umizgał się do bogdanki swego strzelca dość otwarcie i nie wątpiąc zgoła że pańskie jego względy nie zostaną przecież odrzucone z lekceważeniem. Zapraszał on uprzejmie Anusię do swego pałacu pod pozorem że pokaże jéj tam wiele ciekawych rzeczy, a gdy swawolne dziewczę drażniąc się z wielmożnym, i to jeszcze arcy-jaśnie uwodzicielem, przyrzekła mu że pójdzie oglądać owe cuda.... wraz z matką lub za jéj pozwoleniem, baron udał się

do dzierżawczyni w błogiéj myśli, że rodzice na drobnostkę tak dla niego przyjemną a dla nich korzystną zgodzić się wreszcie zechcą.

Anusia śmiała się, lecz niewtórował jéj bynajmniéj zazdrosny strzelec. Był on ukrytym świadkiem rozmowy i nie dał się przekonać że obietnica zrobiona baronowi miała na celu grzeczne pozbycie się natręta. Szorstkie obejście się Karola z Anną w czasie tego nieporozumienia zatrwożyło ją o skutki gniewu strzelca ale więcéj jeszcze przypadło do smaku narzeczonéj. Czuła że będzie to dla niéj mąż wyborny i właśnie dla tego że ją ofuknął bez ceremonii—pokochała go jeszcze mocniéj.

Jest to niby rys kobiety gminu, oklepany a niestosowny w danym wypadku, nie prawdziwy jako cecha ogólna i nieprzypadający do innych szczegółów gry panny Popiel. Sielance Holteya braknie tła iście-ludowego, zaprawił więc on swój obrazek mimochodem barwą barbarzyńską, co tém się trochę tłómaczy że wypadki odbywają się w końcu przeszłego stulecia.

Wiemy że ów wielbiony jakoby przez zamężne niewiasty z ludu rygor mężowskiéj pięści uchodzi i dziś za fakt rzeczywisty w niektórych zwłaszcza krajach mało oświeconych a mniéj jeszcze znanych przez opisywaczy, którzy pozbawieni gruntowniejszych wiadomości zapełniają luki anekdotami. Ale przypuśćmy... *A beau mentir qui vient de loin*, czy odległość ta odnosi się do czasu, czy do przestrzeni.

Przypuśćmy więc, że i tak było.

Hans Jurga wiedział także o umizgach barona, nie obchodziły go one jednak tyle, ile trapiła go miłość Anny dla Karola. Nie zważał już bardzo na uśmiechy dziewczyny do możnego pana, zapomniał nawet prędko i o tém że go baron uderzył szpicrutą—pamiętał tylko że urodziwy strzelec zabiera mu najdroższy skarb na ziemi, chociaż skarbu tego sam nigdy niespodziewał się otrzymać dla siebie. Owładnęła nim rozpacz... Poszedł zabić Karola.

Lecz i Karol był w rozpaczy i Karolem miotała żądza krwawego odwetu, aż popchnęła go do zbrodni. Zwiedziony na czatach marą wyobraźni podniecanéj zazdrością wystrzelił, od strzału zapaliła się sterta od sterty budynki i pałac barona.

Uciekający z miejsca klęski strzelec spotkawszy córkę dzierżawcy przyznał się jéj do swego występku. Anna ukryła narzeczonego w domu rodziców lecz w téj chwili groziło mu właśnie największe niebezpieczeństwo. Tajemnicę powierzoną kochance słyszał Hans i korzystając z łatwéj sposobności zgnębienia rywala oświadczył Anusi że wyda złoczyńcę w ręce pospólstwa, któremu na mocy zwyczaju służyło prawo wrzucić sprawcę pożaru do ognia.

Dziewczyna.... *Virago* w kompozycyi autora, z miną niewiniątka w grze panny Popiel, rozdrażniona pogróżkami Jurgi wpadła w hazard do tego stopnia, że nie pomyślała już o ratowaniu kochanka, lecz żeby popsuć szyki Hansowi sama pobiegła rozgłosić o tém co się stało. Scena to nielogiczna i wywołująca niezgrabnie następną sytuacyę, istotnie efektową. Zebrawszy gromadę przed dom ojca, Anusia opóźniła się jakoś z wyjawieniem imienia winowajcy, tak że skruszony Jurga miał jeszcze porę przyjąć odpowiedzialność na siebie powodowany ostatnią nadzieją, że postępek jego zjedna mu wdzięczność młodéj sekutnicy.

I co ułożył na prędce—musiał też bez zwłoki urzeczywistnić. Gdzie zbrodniarz?! podniosła krzyk nadbiegająca tłuszcza.

— Tu, odpowiedział Jurga.

— Gdzie? kto taki?

— Ja.

Zaledwie to wymówił, zgromadzeni porwali się do Jurgi i byłoby z nim krucho, gdyby nie wspaniałomyślne wdanie się barona, który uwolnił mniemanego zbrodniarza od ognia, czyniąc natomiast z niego ofiarę—wojnie. Już od kilku dni uwijali się po wsi żołnierze werbujący ochotników do wojska i strasząc swojém zjawieniem się spokojnych mieszkańców okolicy. Marsowe pole nie nęciło także i Hansa, lecz wyrok barona łagodząc karę skazywał go teraz na służbę wojskową. Werbownicy opuszczając wieś zabrali z sobą rekruta. Przy odgłosie żołnierskiéj piosenki żegnany przekleństwami znajomych poszedł nieszczęśliwy Hans Jurga w świat szeroki.

Błogosławiło mu tylko dwoje ludzi Karol i Anna.

Obrazek dramatyczny Holteya sprawia wrażenie jakiego autor żądał. Publiczność sympatyzuje z Hansem, żal jéj, że człowiek ten sponiewierany niesłusznie, że cierpi bez pociechy. Efekt jednak ostatnich scen przedłuża się za nadto. Hans odchodzi z werbownikami i wraca znowu, co jest prostém, a więc dla tego i słabém już tylko powtórzeniem poprzedzającéj sceny. Hansa Jurgę grał p. Rapacki, Annę Born panna Popiel.

Mówiąc o wykonywaniu ról trzeba mieć na uwadze udział pisarza, czyli więzy któremi autor krępuje artystę zmuszając go niekiedy do uwydatniania wbrew warunkom sztuki i prawdy te lub owe niestosowności w przedstawionéj roli. U nas jeden Żółkowski nie boi się takich matni, targa je niewidzialnie, krocząc swobodnie daléj jak gdyby żadnego sidła niepostawiono mu na drodze. P. Rapacki zaś wplątany przez Holteya w sentymentalizm Jurgi zdaje się, że radby z desek teatralnych przebojem nieraz wedrzeć się do nieba. Za to we wszystkich innych odcieniach swéj roli Rapacki gra z należytym taktem, wzrusza widzów i odtwarza nader charakterystycznie postać niemieckiego Quasimoda.

Panna Popiel pojęła swą rolę trochę za naiwnie, za dziecinnie nawet, bo ta Anusia którą przedstawia, jest z woli autora ziółkiem rosnącém na porządnego heroda-babę. Ustąpić ona nikomu nie lubi, kłóci się z kochankiem, szydzi z barona, tyranizuje Jurgę i rządząc się własnemi zdaniami niebardzo się ogląda na powagę rodziców. Tu już sprężyny z „Broni niewieściéj" lub z komedyjki „Zbudziło się w niéj serce" działać z powodzeniem nie mogą, a zresztą, w nowéj sztuce nie mile uderzają echa przedstawień dawniejszych.

Ceniąc wysoko talent panny Popiel, pewni jesteśmy, że zamiast przestrajać swoje dotychczasowe wawrzyny artystyczne na wzór sławnego kapelusza w opowieści Gellerta, nieprzestanie ona zdobywać coraz świeższych i coraz świetniejszych laurów na polu sztuki. Powinna tylko obchodzić się z rolami swemi jak... z aksamitem. Materyał piękny, ale nicować go niepodobna.

BIBLIOGRAFIA.

1. Herman i Dorota, poemat w dziewięciu pieśniach J. W. Göthego, przełożył Ludwik Jenike (z rysunkami Tegazza). Warszawa 1872 r.

2. August Wilkoński. Ramoty i Ramotki, wydanie nowe i zupełne z życiorysem autora przez W. Szymanowskiego. tom 1. Warszawa 1873 (?).

Poemat Getego, *Herman i Dorota*, doczekał się u nas powtórnego tłómaczenia; po Czajkowskim przychodzi Jenike. Jaka różnica między obu przekładami? W zasadzie żadna, w wykonaniu znaczna. Obaj tłómacze użyli bezrymowego wiersza, tak zwanego z grecka *hexametru*, czyli sześciomiarowego. Czajkowski w pracy swéj jest częstokroć zbyt niezależnym od oryginału, pozwala sobie zwrotów na własną rękę, opuszczeń i zmian, w układzie zaś samego wiersza jest dosyć niedbałym, tak że kto ma obeznanie z warunkami budowy wiersza starożytnego, z przykrością czyta jego hexametr. Ale Czajkowski jest poetą, zaniedbana więc forma i odstępstwa od oryginału przy tchnieniu poetyczném i pięknym a śmiałym języku, nie przeszkadzają odczuć wdzięków pierwowzoru. Jenike nie puszcza się na swobody poetyczne, z zadziwiającą sumiennością trzyma się tekstu, tyle tylko odstępując od literalnego, że tak powiemy, tłómaczenia, ile wymagały różnice składni językowéj i ograniczenia form wybranego wiersza. Z tém wszystkiem w dykcyi jego nieznać żadnego przymusu, język jest wyborowy, tok opowiadania okrągły i pełny. Z całem tedy przekonaniem przyznajemy, że praca Jenikego wierniéj wyobraża oryginał.

Czy jednak na wierności téj, (mówimy tu o przeniesieniu formy wierszowéj tekstu do przekładu) zyskuje siła estetycznego wrażenia w języku polskim,—pozwalamy sobie wątpić, i nic wątpliwości naszéj nie osłabi, dopóki dowiedzioném nie będzie, że wiersz bezrymowy zgodny jest z naturą języka naszego, i że język nasz zdolen jest assymilować sobie długość i krótkość głosek starożytnych języków. Że tak nie jest dowodzi i ten przekład p. Jenikiego, (zarówno jak inne podobne przekłady), gdzie taż sama głoska, w tymże samym lub podobnym wyrazie, jest raz długą, drugi raz krótką; co znaczy że głoski nasze nie mają właściwie wagi czasu, ale są obojętne (syllabae ancipites); a całe wyróżnienie sprawia tylko akcent. A akcent jednak wyobraża nie rozciągłość lecz tylko siłę uderzenia, co chociaż nie jest jedném i tém samém (jak to widzimy na językach starożytnych), może jednak do pewnego stopnia zastępować długość. Tym sposobem, przy takiém ustępstwie, mielibyśmy jednę tylko głoskę długą w całym wyrazie, a zkądże wziąść innych, gdy potrzeba użyć naprzykład spondeja (dwóch długich obok siebie)? Bierzemy wtedy pierwszą lepszą, byle nie akcentowaną i zdaje się nam, że mamy spondej. Cóż to dopiero mówić o miarach gdzie, dla wierności z miarą oryginału, należałoby użyć trzech lub czterech stóp długich obok siebie?... Wiersz zatem miarowy w języku polskim jest czystą konwencyą, ćwiczeniem metrycznem, zrozumiałem dla tych co otrzaskani są z budową wierszów starożytnych, obojętną i całkiem niepojętą dla reszty niewtajemniczonéj w budowy téj warunki: dla tych wiersz miarowy jest niczém inném tylko prozą o jakimś szczególnym szyku wyrazów.

Bardzo wreszcie błędnie tłómaczylibyśmy sobie *wierność* oryginałowi, gdybyśmy ją odnosili z pewną stanowczością do cech zewnętrznych, jak to p. Jenike zdaje się chce rozumieć,—każdy język ma swoje właściwe warunki układu tak w prozie jak w wierszu. Żeby zatém być wiernym, przeważnie starać się potrzeba o odgadnienie jakie znaczenie estetyczne ma użyta przez autora forma w jego języku, dla jakiego użył jéj estetycznego celu, i zrozumiawszy to, wyszukać w języku swoim formę, którąby tamtym celom odpowiadała. Odyniec poematy Bajrona, Moora, Walterskota i Szyllera, których większa część pisana jest w oryginale wierszem miarowym, przetłómaczył mową wiązaną, a czyż można po-

wiedzieć, że przez to przestał być wiernym? Bynajmniéj: on tylko rzeczom obcym przeniesionym na grunt nasz dobrał takich sukienek, w którychby się na tym gruncie z odpowiedniem wrażeniem przedstawić mogły; nie był on wiernym materyalnym formom, ale pozostał wiernym gruntowi rzeczy.

Wiem, że teoretycznie dużo temu naszemu wywodowi przeciwstawić można, ale w praktyce wiersz polski bez rymu nigdy wierszem nie będzie, równie jak we francuzkim, chociaż może nie przestać być poetycznym: alež mamy i najszczerszą prozę poetyczną, tak samo jak mamy prozę rymowaną; jedno drugiemu nie przeszkadza. Zarzucą nam tu, że przecież taki artysta jak Mickiewicz, użył jednak miarowego wiersza w Konradzie Wallenrodzie. Czegoż to dowodzi? Oto, że wprowadzając obcą niby rzecz a długą do własnego opowiadania, chciał tu poeta niejako wyróżnić się dykcyą, témbardziéj, iż powiada, że Halban od pieśni „zstąpił do prostéj powieści." Dla wyróżnienia się więc, zamiast tę *powieść* ułożyć w prozie, lub przejść na wiersz trzynasto-zgłoskowy, zażył fantazyi i związał się formą wiersza starożytnego. Wolno było poecie w ten sposób pofantazyować w romantycznym poemacie. Ale dla czegoż to Mickiewicz pisząc swój homeryczny poemat „Pan Tadeusz" nie ujął go w hexametry? Gdyby czuł, że to będzie formą właściwą, toż nie gdzieindziéj, tylko tu mógł jéj użyć najwłaściwiéj, boć i sam tok prostoty homerycznéj i lekkość przedmiotu najbardziéj upoważniała do swobodniejszéj formy. Nie; czuł to dobrze Mickiewicz że zrobiłby coś potwornego, bo naturze języka nie odpowiedniedniego, a prawa czy to zasadnicze czy obyczajowe téj natury stoją wyżéj po nad wszystkie powierzchowne i pozorne analogie. Jeżeli tedy mamy zapatrywać się na czynności poetów, jako na pewne dla nas wskazówki prawne, to patrzmy na całości a nie na epizody.

Bądź co bądź, sądząc pracę p. Jenikego taką jaka jest, nie zaś taką jaką by być miała według naszego widzi mi się, oddajemy jéj zupełną sprawiedliwość w tém, że według zamiarów tłumacza wykonaną została z całem wykończeniem i umiejętnością. Jest to dobry nabytek dla literatury pod względem wartości niemieckiego arcydzieła epopei sielankowéj, przedstawiającéj piękny świat uczuć rodzinnych, jako też pod względem języka, któremu p. Jenike arcydzieło to przyswoił. Nie poprzestając na samym przekładzie p. Jenike opatrzył go rozprawą wstępną w któréj rozbiera nie tylko samo dzieło ale z gruntownością choć treściwie, wykazuje stosunek epopei do pewnych epok, dowodząc bardzo zasadnie, że epopeja właściwie wtedy tylko mogła mieć miejsce, kiedy jednostki były zmuszone rozwijać się samodzielnie, wszechstronniéj i własną osobą stanowić to co dziś zastępują prawa i instytucye, a przez stawały się tak zwanemi bohaterami. Dzisiaj samodzielność i bohaterstwo przeszły na inne pole, zmieniły formy, i pociągnęły za sobą zmianę téj formy poetycznéj.

Pomijamy wytworność edycyi w jakiéj praca ta ukazała się, bo to zasługa drukarni; ale nie możemy pominąć zwrócenia uwagi na piękność drzeworytów p. Tegazza zdobiących to wydanie. Mówimy wyraźnie „zdobiących," gdyż pomysł i wykonanie należą z pewnością do najcelniejszych jakie ukazały się w Warszawie. Szkoda tylko że tyle staranności nie zastosowało się do rzeczy bliżéj nas obchodzących jak Herman i Dorota naprzykład choćby:— *Ramoty i Ramotki* Wilkońskiego, których nowe wydanie rozpoczęło się jednocześnie z poprzedniem dziełem, staraniem wydawcy Tygodnika Illustrowanego i Wędrowca. Nie jest to prosty przedruk, na czele bowiem pierwszego tomu, który mamy przed oczami, zamieszczony jest życiorys zmarłego humorysty, napisany przez Wacława Szymanowskiego .O życiorysie tym możemy toż samo powiedzić, co o rysunkach Tegazza w poprzedniem dziele: jest on ozdobą wydania. Przedstawia się w nim całkowity człowiek ze wszystkiemi swemi ludzkiemi i autorskiemi przymiotami, z epoką w któréj pisał, a dzieło jego uległo obszernéj umiejętnéj analizie. Jest to, rzec można, nietylko pierwszy życiorys naszego nieporównanego humorysty, ale zarazem pierwsze znaczące studyum nad humorystyką krajową względnie do humorystyk innych. Autor ogarnął cały świat wśród którego przechodził Wilkoński z bolesno żartobliwym uśmiechem, zebrał wszystkie żywioły służące mu za materyał, okazał sposoby jakiemi pomysły swe gruppował w komiczne formy, odkrył nam słowem, całą duszę i znaczenie *Ramot*. Powiada o nich autor, że nie są to „satyry karcące krwawym biczem wady i zboczenia ludzkie." Namby się zdawało przeciwnie: że Ramoty są satyrami i krwawo karcącemi, tylko że ta krew sączy się z pod delikatnéj rózgi a nie z pod nachaja spleczionego z paszkwilu zaprawionego jadem nienawiści; gdyż, jak słusznie daléj utrzymuje autor:— „przedstawianych przez siebie postaci Wilkoński nie odziera ze czci i wiary, zawsze tam na dnie czuć niemało miłości dla ludzi, wiele pobłażania dla błędów; może dlatego że i on sam poczęści poczuwał się się do tych zboczeń rodowych." Czy ta satyra Wilkońskiego, którą wymierzył głównie przeciw nieuctwu, próżniactwu, niezaradności i nieoględności swych współziomków wywarła jaki wpływ, czy przyniosła jaki realny pożytek?—Podobno nie; ale to już nie wina autora, jeśli w nim brano sztukę dla sztuki, jeśli z nim śmiano się tylko razem, zamiast wejść w siebie za jego pośrednictwem; tak jak nie winą jest satyry Krasickiego, że narodu od moralnego upadku nie powstrzymała. Moralista może tylko wyciągnąć rękę; wolno drugim uczepić się jéj albo ją odepchnąć. Niezawsze też Wilkoński jest moralistą; często pisze żart dla samego żartu, bez innego celu prócz rozśmieszenia; czasami też znać po nim że mu pióro do ręki wkłada wprost zaufanie w wartość swego podpisu, przez ogół oczekiwanego, któréj wartość rzeczy wcale nie odpowiada. Miewał on tym sposobem pokusy do regularniejszych, poważniejszych opowiadań, tytułowanych *szkicami powieściowemi*, które gwoli jego reputacyi, lepiéjby może było opuścić, bo wówczas były już niezabawne;—dziś wydadzą się zaś niedołężne. Wrażenie nawet, jakie otrzymujemy obecnie z jego najlepszych *ramotek*, lubo przyjemne, dowodzi nam jednak w gruncie sumienia, żeśmy spoważnieli, że przebywamy inne stadyum, któremu humorystyka ówczesna niezupełnie odpowiada, co bynajmniéj wszakże bezwzględnéj wartości jéj nie odbiera.

Do tekstu *Ramot* dodane są też rysunki, do wykonania których wydawca, jak nas upewnia jego przypisek, „uprosił p. Kostrzewskiego którego barwny i oryginalny a przedewszystkiem rodową cechą ożywiony talent zdaje się najlepiéj nadawać ku temu." Zgadzamy się zupełnie na to zdeterminowanie talentu p. Kostrzewskiego; i dla tego też, po przejrzeniu rycin, zapytaliśmy się czy czasem nazwisko jego nie jest jaką omyłką drukarską, boć zapewne nie mistyfikacyą. Illustracye te odprowadzają sztukę do jéj najlepszych częstochowskich czasów, i dla tego zapewne tu w ten sposób zastosowane zostały, ażeby ironiczną nazwę *ramot*, czemśkolwiek w całości dzieła na seryo usprawiedliwiły. Wyrządzają one krzywdę sztuce krajowéj na dzisiejszém jéj stanowisku, sprawiają obrzydzenie; bez profanacyi piękna i lekceważenia publiczności, w dalszym ciągu publikacyi powtórzyć się nie mogą.

K.

Kościół Ś-go Wojciecha w Poznaniu.

Do najstarożytniejszych fundacyi i erekcyi należą kościoły pod wezwaniem pierwszego na téj ziemi apostoła i męczennika, biskupa gnieźnieńskiego a przyjaciela Bolesława Wielkiego: Sławnika, imieniem Wojciecha; sięgają one najpierwszego wieku po wprowadzeniu wiary chrześciańskiéj do Polski. Takim jest kościół Ś-go Wojciecha w Krakowie, taki był nieistniejący już mały kościołek w Czerwińsku nad Wisłą dawniejszy od Duninowskiego klasztoru kanoników regularnych, takim w Kielcach mały na przedmieściu Bożeckim dom Boży. Poznański nie sięga tak odległéj starożytności, pamiętny jest za to tém, iż zbudował go Przemysław odnowiciel około roku 1244, powierzając opiece patrona apostolstwa polskiego jedno z dwóch założonych przez siebie przedmieść Poznania. Starożytną budową zwraca uwagę a pięknym na wzgórzu położeniem panuje do dziś dnia przedmieściu swemu niewielki ten kościołek.



Panu **Julianowi W. . . .** w Zamościu. Zeszyt 7my i następne Encyklopedyi wysłaliśmy; zeszyt 12-ty kończy tom II-gi.

Panu **M. Łonickiemu.** Autor artykułu „Claude Bernard i nowożytny materyalizm," nie życzył sobie umieszczać nazwiska pod swoją pracą — rozprawa zaś sama zbyt małych jest rozmiarów, aby ją w oddzielnéj odbitce drukować. Za słowa uznania, serdecznie panu dziękujemy,—i postaramy się do uwag jego zastósować z wyjątkiem propozycyi przeglądu pism czasowych i peryodycznych. Rubryka ta nie wydaje nam się stósowną ani pożyteczną. Za granicą nigdzie jéj pan nie znajdziesz. Dzienniki i pisma polemizują z sobą w kwestyach zasad politycznych, ekonomicznych, społecznych i naukowych, ale nie „przeglądają się" wzajemnie. U nas rubrykę tę wytworzyły względy, których ważności Redakcya „Wieńca" nie uznaje, — lub też naśladownictwo, które dobrém jest tylko w rzeczach istotnie pożytecznych.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 2 (14) Октября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.